



POWIEŚCI JÓZEFA DZIERZKOWSKIEGO

W PIERWSZYM ZUPEŁNEM WYDANIU

Kolekcja
Emila Kornasia

Tom IV.



WE LWOWIE
NAKŁAD I DRUK A. J. O. ROGOSZA.

1875.

Wpisano do Księgi Akcesji

Akc. Dł nr 6/2015/CH.....

HOGARTOWSKIE OBRAZY.

(Pierw. wyd. 1843.)

Niedawno temu w uczonej rozmowie słyszałem od sąsiada mego, że Hogart malował same karykatury, a karykatury podług niego są malowaniami paszkwilami. Napróżno było się wdawać w polemikę, bo mój sąsiad to uparty szlachcic; umilkłem zatem, jakkolwiek innego jestem zdania. Hogart podług mnie, a zdanie to nie jest nawet nowe, malował obrazy z życia wzięte; nie jego wina jeżeli towarzystwa i szczególne osoby, które w koło siebie zdybywał, były śmieszne; a malując pędzlem śmieszności, te narości moralne, nie mógł je inaczej oddawać, tylko rzucając na papier tu i owdzie narości zbyt nowe, bród i garbów, które, bym się tak wyraził, były tylko szyldami!.. Każdy człowiek ma, jak się Niemcy wyrażają, szatańską jedną nogę, która gdzieś koniecznie wystawać musi; Hogart szatańskie te nogi widzialnemi rysami malował — i to mają być karykatury?.. Sąż więc karykaturami powieści, w których pisarze nowocześni anatomicznem piórem moralne opisują wrzody?.. i czyliż Hogart, gdy wydał naprzód usta dumnego, nos skapca w wytrych przedłużył, twarz pijaka całą kopalnią rubinów i z safirów obsypał, oczy głupca na wierzch wysadził, czyliż wówczas malował karykatury?.. Czasy Hogarta bogate były w śmieszności, bo życie było mniej wyrozumowane, więcej zewnętrzne, a zatem rozmaitsze; i naród z którego łona czerpał Hogart natchnienia swoje, splinowem usposobieniem, więcej mu poddawał rysów płaskorzeźbowych. Dziś trudniej już o karykatury; niema ich zkad czerpać, i niema dla kogo malować, bo i śmiesznych, i śmiejących się ubył; dziś Hogart gdyby z Moskwy do Lizbony całą olbrzymią przestrzeń ucywilizowanego świata przeleciał wiatronogą kibitką, orłopiórym wozem parowym, nie zdybałby może jednego obrazka dla siebie, a wkrótce przyszłe Hogarty, lecące balonem po nad starym światem, chyba pomiędzy ptakami, lub herszłowskim szperając teleskopem, między gwiazd mieszkańcami szukać będą przedmiotów do rozśmieszających obrazów!.. Są i dziś zapewne karykatury; ale w życiu dzisiejszem więcej wewnętrznem trudno je wynaleść, a jeszcze trudniej ołówkiem lub pędzlem oddać; bo rysy ogólne zlały

się pomalu w rodzaj podobieństwa familijnego, a rysy szczególne rozprysły się na tak rozmaite odcienie, iż je ledwie piórem opisać można. A to pióro dzisiejsze, pióro anatomiczne, jak zacznie w głąb się wko-
pywać, niejeden obraz, który miał być na pozór komicznym, stanie się w głębi tragicznym!.. Dla czego tak jest? trzeba się pytać życia dzisiejszego; ja zamiast długich i nudnych definicij odpowiem kilką przypomnionemi sobie obrazami, które nazwę hogartowskiemi. Czyli i jaki ztąd może wyniknąć pożytek? by szczerze wyznać, nie umiem powiedzieć; ale może zabawię, może przez jedną chwilkę oderwę od nudniejszych zatrudnień.. a i to czyż nie jest pożytkiem?..

I.

Dwa zegarki.

Najprzód rysunek powierzchniowy... Izba niska i obszerna stanowi oczywiście część dworku szlacheckiego, bo podłoga z niebardzo równych desek ułożona, a powała sterczy poprzecznemi belkami, skapo i ongi pobielonemi; piec kaflowy z pręgami gliną zalepionemi, mnogich śwędów świadkami i komin, sadzy przybytek, zapełniają całą jedną ścianę; za to trzy inne płótnianem pobielaniem strojne: czas i szczury, tu i owdzie wyglądające, podziurawiły je wprawdzie, zawsze jednakże dosyć świeże się wydają, a niemało strojności dodają im obrazki nie nader symetrycznie rozwieszone. Na jednej ścianie cztery pory roku, różne swojemi kolorowanemi godłami, choć je muchy dosyć jednostajnie popstrzyły; na drugiej dzieje marnotrawnego, od hucznych bankietów zaczawszy, aż do skromnego świnek pasienia; a na trzeciej dziwnie interesujący żywot Genowefy brabantkiej, w pałacu i na puszczy, z dzieckiem i łanią... Krzesła w koło ścian dębowe podobno, lecz i politurę i barwę obić zęb czasu zdrapał, a porządek który wszystko naprawia, nowemi ubrał łatami; na środku stół dębowy umozaikowany dziurami wypalonomi i wydrapanemi, brudem, kredką i piórem nawet, zdaje się świadczyć, że pokój ten, łącząc kilka przeznaczeń, jest jadalnym, bawialnym i ekonomicznym razem pokojem. Bym nie zapomniał, w przeciwnym kominowi kącie stoi długa drewniana rura z głową zegara i głosem kukułki, a między nią i obrazem kwiecistej wiosny, wiszą trzy nahajki różnej długości, grubości i tęgości; dobrze zużywane, ale zawsze pełne jeszcze życia. Trzy tylko osoby stanowią grupę obrazu, bo wprawdzie przez drzwi wpółotwarte widać w sieni kilku chłopków z nieśmiałą miną drapiących się w głowy, ale w samej izbie widzimy tylko w samym środku stoła stojącą postać mężczyzny, którego metrykę z twarzy trudno poznać, bo jeżeli ją czas licznemi porał zmarszczkami, natomiast zdrowie, wiatry, upały i niepogody znamie czerstwości na niej wyrwały; czoło niskie i ciasne, grubą, kasztanowatą, najeżoną i brudną włosów szczotką nadsztukowane, nie rachując w to słomy i pierza, resztę z rozlicznych noclegów; oczy bure, wielkie, na wierzchu

osadzone, były obie jednakowe zapewne, póki jednego niezgrabna ręka jakaś sińcem i gulą czerwoną nie naznaczyła; nos musiał być zadarty, lecz tabaka go w szerz rozepchała, a gorzałeczka ustroiła w barwę sińcowi odpowiednią; usta szerekie, grubowargie, rodzajem szyderczego uśmiechu ku uszom rozciągnięte i nieco skrzywione: wszystko to wraz z brodą dwa razy dłuższą od twarzy, napół włossem zarosłą i centkami czerwonymi na twarzy hojnie rozrzuconemi, tworzyło ogólną charakterystykę tej twarzy. Szyja krótka, ale za to garb z tyłu sownicie wzniesiony i powiększony jeszcze mantelzakiem dosyć podartym, z którego boków wystawały sukien i bielizny ułamki; a na wierzchu położone buty dziurawe, zdawały się łączyć głowę z garbem. Surdut, kamizelka i spodnie tworzyły całość harmonijną brudem, łatami i wynoszeniem, ale oczywiście się kłóć pochodzeniem swoim z tandety, która surdut, z niegdyś aksamitnym kołnierzem, zdjęta z wysokiego suchotnika, kamizelką z otyłego pasibrzucha, a spodnie z małego gimnazjalisty, by naszego ubrać garbusa... Otoż i on cały, prócz krawaty niegdyś włosiennej i czapki której pochodzenia i kształtu nieodgadnąć, tak ją używanie rozepchało a stoły licznych szynkowni i deszczu nawaly, z prochem dróg zmieszane, pobrukały; ten człowiek wydaje się ubogim, a przecież jest zbytek widzialny na nim, zbytek drugiej pary butów na krótkich nogach, zbytek dwóch pierścieni na palcach, srebrnego i tombakowego, zbytek chustki kratkowanej, którą w chwili na obrazie schwytej, pot ociera z czoła.

Druga na obrazie osoba wpół oparta na dębowym stole, jest to chudy, wysoki, ospowaty jegomość z zapadłemi policzkami, nosem śpiczastym, sympatycznie ku równie śpiczastej brodzie schylonym; pod tym kablakiem usta w głąb ściśnięte, bezzębną zamykają gębę, nieco w górę rozciągnięte złośliwym uśmiechem rozpromieniają żółte, pargaminowe policzki, nad którymi błyszczą małe, piwne, zyzowate oczy pełne ciekawej niespokojności, a wznosi się czoło ściśnięte w skroni, zapisane całe najkapryśniejszymi zmarszczkami jakie tylko wymyśleć można. Włosy niegdyś ciemne, czas przerzedził i posrebrzył, a grzebień i ręka ku czołu zaczeszała i zagładziła; ubior cały kusy, stary, z ojczystego dreliszku, i widocznie przez starozakonnego krawczyka sporządzony, odznaczał się nie tyle porządkiem, ile szanowaną oczywiście starożytnością. Bez czapki, bo domowy; bez halstuka, bo widać przez okno otwarte zielone sadu konary; drugą rękę miał napół wyciągniętą ku garbusowi, a długimi palcami jakby szponami zdawał się mocno cisnąć przedmiot jakiś, z którego wisiał tylko ułamek sznurka czarnego.

Trzecia osoba na obrazie stoi o parę kroków od stołu, jakby tylko co przyszła ze środka pokojów, napół obrócona ku chudemu jegomościowi, a napół ku garbusowi, trzyma rękę wyciągniętą, a w niej złoty zegarek cebulowego kształtu z różnobarwnym łańcuszkiem paciorkowym. Jestto niski, pękaty, niemłody już i nawet łysawy blondyn, chociaż się do tych własności przyznawać nie zdaje; bo i głową zadartą w górę i obcasem wysokim sztukuje się jak może; faworytami gęstemi od uszów do ust ciągnącemi się i wąsem rzęsi-

stym, miotłowym, a hiszpanką wymuskaną nagradza brak włosów, pilnie na czoło wypukłe naciągniętych i zmarszczki twarzy, jakkolwiek się ta pełnością i rumieńcem klóci jak może z nielitościwym wiekiem; ubiorem obcisłym brzuch wyrastający ściągą o ile sił starczy, a świeżością barw na tym całym stroju chce widocznie letnich kwiatów przypominać parę. Bo proszę patrzeć tylko: na kamizelce białej pikowej, nakrapiane, niebieskimi i pomarańczowymi gwiazdkami, która dziwnie dobrze odbija od różowych spodni i walterskotskiego surducika, jest naprzód na cał szeroka wstęga, jakby orderowa, jasnobłękitna, która niknie w lewej kieszonce od kamizelki z wystającym piórkiem od zębów; jest czerwona, morowa wstążeczka, która ku prawej dąży kieszonce z zegarkiem zapewne, a zieloną przedłużoną wstęgą, kończy się bogactwem krwawnikowych pieczętek; na paliowej wisi u szyi lornetka, ku ozdobie raczej niż ku potrzebie zawieszona; czarna znowu z jakąś pamiątką czy świętością z po za kamizelki wygląda i bladoróżowa wstążeczka wstydliwie się chowa pomiędzy guziczki świecące z niewidomym przedmiotem. Oczy jasno niebieskie chociaż pozbawione wyrazu i jak dwie olbrzymie cebule na wierzchu osadzone, zdają się także spojrzzeniami pewnymi, zuchwale na wsze boki rzucanymi, świadczyć o żywotnym ogniu, którego pełno jeszcze w tej okrągłej, kulistej figurze; tą razą zdaje się z nich strzelać inny jakiś wyraz, który gdzieś z głębi dobyty, mniej zwyczajnym promieniem uszlachetnia twarz całą.

Nie wiem czy piórem zdołałem oddać ten wyraz śmieszności rozlany w tej grupie, tak jakby się on wydał, gdybym mógł obraz ten odmalować pędzlem, tak nareszcie jak się wydał oczom moim, bo obraz ten jest istotny! osoby odrysowane żyły i odbyły razem scenę, której z drugiego pokoju byłem świadkiem, a którą odrysowawszy ogółowo opisać zamyślałem.

Garbaty Janek, był to sierota losu, stworzenie koczownicze, które odbyło wędrówkę życia bez popasów wygodnych i noclegów orzeźwiających. Życie jego całe tak rozmaite stanami, których próbował, miejscami, które niezmordowaną przebiegł nogą, a tak jednostajne nędzą, nieodstępną towarzyszką swoją, nic mu nie dało po czterdziestu latach, prócz tych lachmanów, w których go widzimy, prócz tego filozoficznego uśmiechu, którym się nauczył patrzeć na świat i jego zdarzenia i tych kilku plam na nosie i twarzy, którymi go obdarzyła jedyna pocieszycielka jego żywota: gorzałka; ta stała mu się wszechwładną czarodziejką wywołującą codzien świat inny, świat pełny uroku!... Jakoż dzieje jego życia łatwo odgadnąć z powierzchniowej jego postaci: niema w jego myśli tajemnicy; dusza jego nie chowa pamięci zdarzeń szczególniejszych, a przecież są chwile przedgorzałkowe, w których niknie filozoficzny jego uśmiech, są chwile pogorzałkowe, w których o przeszłości swej gada jak o raju utraconym. Epizody jego żywota, nie ciekawe zapewne dla czytelników, przemilczę, jakkolwiek niemały dałby się może wyciągnąć sens moralny z tej prostej, ale hartownej natury, którą nędza i pijaństwo nie zepsuły; o brudy towarzyskie ocierając się przez lat czterdzieści, wyszedł nasz garbus z czystym sumieniem i wesołym zawsze usposo-

bieniem. Fatalizm jego żywota był garb, a później gorzalka!... Napróbowawszy się różnych rzemioł, z których wypędzał go śmiech, jaki wzbudzała jego postawa, dłużej zatrzymał się przy warstacie szlufirskim, bo wędrując z ulicy na ulicę, z miasteczka do miasteczka, przy furczącym z szlufirskiego koła odgłosie, łatwiej mógł puszczać mimo uszów żarty i przydomki, jakimi go lamparty uliczne obsypywali; lecz nagle bez pozornej przyczyny, opuścił ten stan najwięcej zgodny z garbem jego. To była tajemnica jego żywota!... odtąd po raz pierwszy rzucił się w objęcia czarownej wódeczki i odtąd pozostał w nich na zawsze; zaczął sługiwać po dworkach i dworach; niełitościwy śmiech wyganiał go zewsząd. Stan lokaja w mieście uśmiechał mu się jako najwyższy szczebel szczęścia, lecz próżne były sny jego nocne, próżne marzeniaienne; napróżno uczciwością chciał się utrzymać i wznosić w tym stanie; lokaj garbaty była to śmieszność, od której każdy uciekał: ledwie jako sługa dochodzący mógł czyścić buty studentów niezamożnych i niższych urzędników: a i tu, ileż razy odpędzało go głupstwo, wstydzące się garba Jankowego! Coraz głębiej zazierając do kieliszka sprzykrzył sobie nareszcie życie, znienawidził ludzką niewdzięczność, i puścił się na wędrowną. Przechodząc przez tyle stanów, niemało pożytecznych nauczył się kunsztów, i tak: tam latał, tu brzytwy i noże ostrzył, tam furmanil, tu siekierą rąbał, czasem komin wyczyścił, czasem hucznego zagrał mazurę; zgoła od wioski do wioski, od gospody do gospody, od rannego kieliszka wódki do wieczornej piwa szklanki przeskakiwał wesoło życie, a słuchając zdarzeń cudzych i rozповідаjąc własne, nabrał tego filozoficznego uśmiechu, z którym go widzimy stojącego na obrazie przed panem Wincentym i panem Antonim, dwoma braćmi, współdziedzicami czwartej części lichej wioski podolskiej...

Lecz uważam, iż nadto prostym sposobem rozpowiadam powieść moją... a zatem zróbmy skok!...

Było to w wieczór po bitwie pod Samosierra czyli Sierra-Morena... Jakkolwiek mógłbym tu piękny umieścić epizod o tej, nie tak stanowczej, jak raczej morderczej bitwie, wolę jednakże ciekawych czytelników odesłać do opisów historycznych, które prozaiczniej, ale wierniej zapewne odmalują tę bitwę. I o okolicy górzystej, w której się odbywać ma scena mojej powieści, wiele powiedzieć można, lecz niestety! nie byłem w Hiszpanji, i tylko z opisów wiem jak musi być czarowna ta okolica, przerznięta skalistemi wąwozami, które dziwnymi piętrząc wyłomami, tam gołem sterczą urwiskiem, tu w zieloność drzew strojne, wznosić się zdają w błękit nieba... w błękit nieba hiszpańskiego! a rzuciwszy na to wszystko złociste promienie słońca zachodzącego, tego słońca południowego, słońca, które się odbija o złote arabeski ścian Alhambry, łamie się pomiędzy kolumny dawnych Maurów pałacu, chowa się w wonnych gajach Grenady, przegląda się pyszne i promienne w złotem tkanych Tagu nurtach; a dodawszy do tego powietrze rozkołysane nutą dawnych pieśni o Cydzie; byłby to krajobraz godny pędzła, godny pióra poety!... Nie byłem w tym kraju poezji i słońca; nie mnie to mieszkańcowi lodów północnych zgadywać i opisywać cuda, które tylko w godzinie na-

technienia przysnąć się mogą!... Był wieczór pogodny, chociaż tu i owdzie z parowów oświeconych jeszcze ostatnimi słońca promieniami wznosiła się mgła; nie mgła, która spada nazad na ziemię deszczem ożywczym, ale mgła z morderczej walki powstała, mgła prochu nieszczonego przez dzień cały. Milczenie nastąpiło powszechne; czasem je tylko przerwał jęk urywany!... nie głos to puszczyka!... zawczasie jeszcze na tego nocnego ptaka! o nie!... lecz mgłę prochu wnet rosa rozkradnie wieczorna, a jęk umilknąć także musi!...

Ścieżką wiodącą gęstym gajem, rozrzuconym po nad wąwozem, który był świadkiem morderczej bitwy, szły dwie kobiety: młodsza postawą i ruchem, osłonięta ciemną mantylką, szła naprzód; starsza zchromionym przez wiek wlekła się za nią krokiem.

— Panno! panno! wracajmy! jak się stryjaszek dowie o tej wyprawie, będzie się gniewał na biedną Donatę...

— Nie bój się pocziwa Donato! mój stryj był żołnierzem, dziś jest kapłanem; nie będzie się gniewał na bratanke, w której żyłach płynie krew dawnych Hiszpanji oswobodzicieli, jeżeli idzie z ratunkiem i modlitwą na pole bitwy... gdzie nie jeden może z ziomków moich...

Jęk przedłużony dał się słyszeć. Stara wzdrygnęła się!... — Panno! Juanito! uciekajmy!...

— To tam niżej odezwał się głos... Chodźmy!... — I przedzierając się pomiędzy krzaki pobięła Juanita ku miejscu, z kąd głos się odezwał powtórzony, lecz coraz cichszy i słabszy. Stała nagle dziewczica, nie bez wewnętrznego wzruszenia, i do nadbiegającej staruszki rzekłszy z wyrazem pogardy: To Francuz!... Chciała iść dalej; lecz mimowolnie gdy raz jeszcze rzuciła wzrokiem na leżącego przy krzaku trupa, coś jej zaświeciło z łona ciemności, które się już rozścielać zaczynały. Był to złoty krzyżyk zawieszony na piersi leżącego żołnierza; snąć go dobył z zanadrza, przyciskając rękę o piersi zranione, lub wiedziony myślą jaką pobożną... To chrześcijanin! — rzekła głosem anioła, i odrzucając zasłonę na ramiona, schyliła się ku leżącemu. O! jeżeli była jeszcze iskierka w nim życia, musiało się ocucić na widok tch dwojgu oczu, które spojrzały na niego z wyrazem nadludzkiej litości. Jakoż ranny zrobił poruszenie: oczy Juanity z wyrazem wdzięczności wzniosły się ku niebu, a spadły radośnie na oblicze dorodne leżącego młodzieńca; i ratując go wszystkimi przyniesionemi ku temu środkami, zapomniała Juanita na godzinę późną, zapomniała na ziomków, których szukać i ratować przyszła. A gdy pod puchowem śnieżnej ręki dotknięciem, ogorzała twarz żołnierza ożywiać się zaczęła, gdy jej ciemne oczy pierwszą iskrę życia i poznania w otwierającym się błękitnem jego oku dostrzegły, pamiętała już tylko jakby wyratować zupełnie biednego młodzieńca.

— Donato! jak my go zaniesiemy?...

Mniej litościwa staruszka trzęsła się ze strachu i zgrozy, widząc swoją pannę, córkę prawego szlachcica hiszpańskiego, bratanke przeora bliskiego klasztoru bosych karmelitów, schyloną nad bezbożnym Francuzem... — To poganin! — krzyknęła.

— Donato patrz na oblicze pana Jezusa na tym krzyżyku!... to biedny zbłąkany chrześcijanin! jak go zanieść? poradź!... gdzie go schować? poradź moja kochana mamko!...

— Juanito! to będzie nieszczęście twoje! ostatnie słowa księdza przeora... Zbliżają się nieprzyjaciele; ale śmierć dla nich! śmierć każdemu Francuzowi!...

Ulan tymczasem otworzył pomалу zdziwione oczy, i w pierwszej chwili mniemał się już być w niebie, widząc tak blisko nad sobą gwiazd dwoje promiennych, później zdawało mu się, że jest w objęciach anioła; a gdy powoli wrócił do przytomności, zrozumiał o co rzecz idzie, i zebrawszy całą umiejętność języka hiszpańskiego osłabionym wyrzekł głosem:

— Ja nie Francuz, ja Polak!...

— A widzisz Donato!...

— Po coś tu przyszedł Polaku z bronią w ręku do naszej pięknej i wolnej Hiszpanji? — surowo zagadła Donata.

Nie mógł się wdawać w polemikę biedny ulan, bo za każdym słowem krew mu się dobywała ze zranionych piersi; a gdyby i mógł, cóżby zdołał odpowiedzieć młody i niedoświadczony szeregowiec: należał bowiem nasz ulan do liczby tych, którzy idąc za popędem owoczesnych marzeń, jak dawniejsze pokolenie do ziemi świętej, szli stawić się pod orły francuskie, i płonne urojenia krwią płacąc własną, trupami swemi zasłali szeroką świata przestrzeń od piramid egipskich, do kolumn Herkulesa.

— W grobowcu księcia Maurów będzie leżał! — natchniona zawołała dziewczina...

— Juanito! to przekleństwo jakieś na ciebie... Długo trwało nim wsparty na obydwóch niewiastach dostał się po skalistej i krętej ścieżce, która wiodła po nad urwiska, pomiędzy zarośle do spustoszonego budynku, który okoliczna wieś nazywała grobowcem księcia Maurów; był to budynek obszerny, sklepiony, złożony z kilku oddziałów napół zawalonych. Popękanemi schodami zeszli nareszcie w dół; i tam był obszerny pokój kilku okienkami z góry oświecony; większa jego część była zawalona gruzami kolumn, na których widoczne były jeszcze dawnych rzeźb ślady. Grobowiec ten był źle uważany i nawet za siedzibę złych duchów miany przez pospólstwo zabobonne; z tych właśnie powodów wydał się Juanicie najbezpieczniejszym schronieniem dla rannego, tem więcej że niedaleko ztamtąd było jej własne pomieszkanie w starym, na górze zawieszonym zameczku; a prócz tego ona to zwiedzając często złowrogie ruiny, wynalazła sama drzwiczki ukryte w ścianie i schody prowadzące do dolnej komnaty. Chętnieby była umieściła chorego w wygodniejszym mieszkaniu własnem; ale obawiała się nawiązać jaką pałali wszyscy Hiszpanie ku najeźdźcom swoim; a chociaż bez ojca i matki, sama jedna z starą mamką i kilku wiernymi sługami mieszkała w zamczysku, bała się dla żołnierza częstych odwiedzin stryja, zagorzałego nieprzyjaciela Francuzów. Póty biegała z zamku do grobowca, póty błagała swej mamki ze łzami w oczach, póki nie przynieśli młodemu żołnierzowi wszystkiego, czego mógł dla swej potrzebować wygod.

Przeskoczmy kilka tygodni słabości i wyzdrowienia naszego ułana, a ciągłej staranności i opieki ze strony pięknej Juanity!... A piękną była piętnastoletnia Juanita, piękną tą pięknoscią czarno-okiej Hiszpanki, piękna ogniem, który strzelał z oczów, który się rumieńcem na poły wstydliwym, na poły namiętnym rozlewał po białej jak alabaster twarzy; piękna osobiście tem usposobieniem na poły nieśmiałym, płaczącym prawie, usposobieniem lekliwej kobiety, a na poły energicznym, wyczerpanem z krwi dawnych bohaterów: wychowanie samotne i pobożne w pięknej okolicy, pod niebem uroczem dodało do powabów tyłu nowy urok niewinności, który zdawał się ją obwiewać anielskimi skrzydłami... Lekką Sylfidy stopą ziemi dotykała, marzeniem i modlitwą w niebo wzlatywała!..

Lecz jakże zmieniły ją dnie, które od owego zdybania tak szybko, tak niepowrotnie uleciały; w obszernej zamku starego komnacie siedzi smutna w szerokim starego kształtu krzesle; oczy jej nieruchomie utkwione w kamienną posadzkę pokrywa zasłona leż wstrzymywanych i długich ciemnych rzęsów, których cień przedłużony, odbity od świec na stole postawionych, miga się po wybladłych licach. Na tym stole stoi wysoki krucyfiks misternej roboty, smutny sprzęt w dziewiczym pomieszkaniu; a przed nią nieruchomy mężczyzna w mniszym stroju, z oczami surowo wlepionymi w jej smutną twarz. Rozmowa była długa i stanowcza; często i ciężko wznoszące się piersi dziewicze kończyły łkaniem przytłumionem walkę, którą odbyła po raz pierwszy i ostatni z nieugiętą wolą opiekuna swego.

— Nie daj mi żalować — rzekł mnich głosem, w którym nie było ani cienia czucia — żem się na wieki w murach zamknął klasztornych, aby szczupły dziadów naszych majątek zlać na głowę jedynej dziewczynki wielkiego imienia... Bartolomeo nosi to same nazwisko... i musi być mężem twoim; a przez Boga jest godny twojej ręki; nazwisko jego stało się postrachem tych zapyrenejskich rabusiów... i tyż Juanito! dzieliłaś dawniej rodową naszą nienawiść do dumnych najeźdców!... miałaśbyś się zmienić? gdybym to wiedział, na ten krzyż, który przodków naszych pobożnie słuchał modlitwy, przysięgam... wolałbym, byś leżała w grobie! Juanito ty milczysz?...

— Nie! nie!... — wyjękła Juanita...

— Nie!... mamże to zaprzeczenie przyjąć za wyznanie dawnych twoich myśli?... ty nienawidzisz Francuzów...

— Nienawidzę! — ledwie dosłyszczanym odpowiedziała głosem.

— Nado ci wolności zostawiałem!... odkad porzuciwszy pobożne ćwiczenia zaczęłaś się błakać po górach naszych, jak prosta pasterka, zaczęłaś się drapać po skałach... z tych przeklętych zwalisk buntowniczych Maurów, wyniosłaś ducha przeciwieństwa!...

— O nie ztamtąd!... — żywszym krzyknęła głosem.

— Tak mówisz! — szyderczo zagadł znowu; — lecz po cóż nam dłuższych rozmów; zas nagli!.. Bartolomeo niema do stracenia godzin życia swego, zapełnionych zemstą nad wrogami; napróżno staranie się o miłość romantycznej dziewczyny; na godzin kilka uwolniony od służby, przyleci tu przededniem z wojska, a... — tu spojrzął na zegarek

staroświeckiego kształtu u stóp krzyża złożony.... — o godzinie piątej zrana będziesz jego żoną!...

— Już jedenasta! — krzyknęła Juanita — i porwała zegarek; ostatni więc upominek matki mojej ma mi zwiastować godzinę mego...

— Nie kończ płocha dziewczyno!.. ostatni upominek matki powinienby ci inne myśli przywieść na pamięć... Znam i ja ten zegarek!... O Juanito! — dodał, i głos jego stał się czulszy — matka twoja bardzo kochała brata mego, kochała go przed wszystkimi... i został jej mężem, a ja zkamieniałem w kamiennych klasztoru murach... Pamiętaj, o piątej zrana!...

— O piątej czekać cię tu będę mój stryju!...

A gdy odszedł stryj, Juanita skoczyła z miejsca. — Już jedenasta! — wykrzyknęła drżącym głosem — Donato! Donato — zawołała, a zegarek cisnęła o piersi swoje... I wnet pogasły świece w zamku, a pomiędzy krzaki w noc ciemną przemknęły dwa cienie ku grobowcowi maurytańskiego księcia.

Ułan uzdrowiony z ran spał głęboko; lampa skąpem światłem oświecała ciemne sklepienie; nad spokojnie uspionym młodzieńcem długo stała zadumana Juanita; chciała go budzić, a żałowała mieszać sny miłe, które igrały na jasnej młodzieńca twarzy. Donata opodał od nich na ulamku marmarowej kolumny ciche zmaśniała pacierze. Po długiej godzinie pełnej bolesnych rozpamiętywań spojrzała Juanita na zegarek. — O! czas ubiega nielitościwie!... czemuż, czemuż nakręciłam go wczoraj tak rano... Antoni! — zaszepiała. —

Do obozowej czujności przyzwyczajony żołnierz zerwał się. — Juanito droga! to ty?... czy wiesz już drogę do obozu mego?... ja zdrów, mnie do braci tęskno, mnie do walki już spieszyć!...

— I mnie porzucić na wieki!...

— Ciebie Juanito!... — zaszepiły się oczy młodzieńca, bo miał lepsze serce niż głowę. — Bóg widzi jak mi żal za tobą, za tobą, któraś mnie wyratowała, nowem życiem obdarzyła... ja cię nigdy nie zapomnę!...

— I nic więcej! — rzekła głosem podzielonym między rozpaczą i pogardą dla oziębłości człowieka, którego czuje, iż kocha nad życie.

— Cóż chcesz, żebym powiedział Juanito! ja żołnierz, ja nie mogę szeregów moich odstępować, nadziei, dla której porzuciłem i rodzinne progi i spokój domowy i kochaną nad grobem stojącą matkę! Bóg wie, czy już ją zobaczę!...

— A ja odstąpiłam przecie!... od dawnej wiary, dawnych myśli i nawyków dla ciebie niewdzięczny!... Antoni czy w waszym obozie są kobiety?...

— Kobiety? kobiety! — zadziwiony i przestraszony zawołał młodzieniec... — niema! nie wolno!... Juanito ja ciebie kocham, o ile mogę i o ile umiem... Juanito pożegnać ciebie jak najprędzej jest powinnością moją!... ty dziedziczka wielkiego rodu, zapomnisz biednego żołnierza... ty, dumna Hiszpanko zapomnisz... i będziesz szczęśliwa!...

— W grobie!... ale dobrze mówisz! ty nie możesz być Hiszpanem, ty nie dla mnie, o nie!... i ja nie dla ciebie; ty jesteś z zimnej północy, nie zdołasz mnie zrozumieć, mnie dziecka południa...

I prawda; z oczów ułana wyczytać można, że energia żołnierza, która mu wystarcza w obliczu śmierci codziennej, nie pojmuje energii kochającej dziewczyny: bo poświęcenie ciała nie sprostą poświęceniu duszy; milczy ułan i szuka w głowie swojej coby w tej chwili powiedzieć wypadło, a przecież serce go szczerze boli za piękną czarną Hiszpanką.

Przykro żegnać, po tylu dniach i nocach przemarzonych, żegnać to uroczę dziecko dumań moich, to lube urojenie wypieszczone przezemnie!...

— I mnie Juanito boli serce; nie umiem ja układać pięknie brzmiących słów, ale kocham cię Juanito! kocham... i nie zapomnę tu w tej gorącej Hiszpanji i w mojej zimnej Polsce nie zapomnę!...

— Kochasz mnie Antoni! — łzami jak brylantami zaiskrzyły się oczy dziewczicy — dzięki tobie za tę ostatnią pociechę... O jak te dnie minęły! jak cię! nie wrócą już dla biednej Juanity... czas leci! patrz, jak światło lampy bladej! to zorza!... Antoni! — przeraźliwym dodała głosem — patrz już niedaleko!...

— Piąta! cóż to znaczy?...

— O! po cóż go wczoraj, odchodząc od ciebie, nakręciłam tak rano... a przecie możebym godzinę... jedną choć godzinę zarobiła... przeszły już godziny szczęścia mego!...

— Co to znaczy Juanito?...

— Co znaczy? o piątej pożegnamy się... Donata ma strój pasterza dla ciebie, a tam na dole czeka siostrzeniec Donaty, który cię zaprowadzi aż przed czaty naszych wrogów... twoich braci!... między niemi zapomnisz!...

— Nie zapomnę ciebie!...

— Darmobyś przysięgał; ty uczuć pamiętać nie potrafisz!... Weź ten zegarek! to upominek od matki mojej... nie nakręcaj go nigdy; oby ci ta skazówka nieruchoma wskazywała zawsze godzinę naszego rozstania!...

— Juanito! — zawołał poruszony aż do głębi, ja cię tak porzucić nie mogę; ja czuję tu w sercu czego jeszcze nigdy nie czułem; ja nie drżałem przed morderczymi kulami twoich Hiszpanów, a drzę przed tobą dziewczyno!... kocham cię! Juanito! to inaczej być musi!...

— Inaczej? — zawołała Hiszpanka, a oczy łyszczące rzuciła na niego.

— Ta wojna się skończy! orły nasze zwyciężyć muszą, a jak pokój nastanie!...

— Nie Antoni! są przeznaczenia, których ominąć nie podobna; weź ten zegarek, przebierz się i idź!...

— Nie!...

— Idź! ja tak chcę, ja cię o to błagam! Ty już idziesz? o ja

— i załamała ręce, porwała z namiętnym ruchem młodzieńca za szyję, i gorące na ustach jego złożyła pocałowanie. — Tem pocałowaniem żegnam ciebie!

— Juanito! my się będziemy jeszcze widzieć!...

— Tam! — odpowiedziała, a oczy wzniosłszy ku niebu, złożyła ręce pobożnie do szczerzej modlitwy.

Ułan przebrany za pasterza kóz stanął raz jeszcze przed nią. — Bądź zdrow! Antoni! bądź szczęśliwy!... zegarek zatrzymaj na piętej godzinie!..

— Zachowam go do grobu, a ciebie Juanito w sercu!...

— Boskie błogosławieństwo z tobą! — Znikł ulan między krzakami; Juanita jak posąg została oparta o grobowiec maurytańskiego księcia, a Donata mruczała: „przeklęty poganin zaczarował moją biedną Juanitę!..“

Wrócił do swoich chorągwi, długo wojował, z pod słońca hiszpańskiego pognął w lody północne; Hiszpanki nie zapomniał wprowadzić, ale w życiu obozowem epizod ten stracił pomалу tęczowe swe barwy, a umysł naszego ulana pozostał spokojny. Gdy się ów sen piętnastoletni obudzeniem zakończył, powrócił Antoni równie z drugimi do ojczystej zagrody; piechotą o głodzie i chłodzie powracał, złoty krzyżyk sprzedał, a zegarka jak świętości jakiej bał się dotykać: w długiej, żmudnej wędrówce częściej wspominał o Hiszpanji, częściej spoglądał na nieruchomą skazówkę, bo choć piąta godzina została mu zagadką, wierny przyrzeczeniu nie nakręcał zegarka. Widok ziemi ojczystej na inne myśli skierował umysł Antoniego; jak się cieszył zbliżając się do wsi, w której zostawił matkę i brata: już zobaczył krzyż cerkiewny, dworek i sad ojczysty!... Matki nie zastał; brat ledwie go poznał, a przyjął obdartego przybysza ze skrzywieniem. Bo pan Wincenty, jak go widzimy na obrazie, był na ciele i na duszy wysuszony szlachcic; krótkimi słowy zlażał brata, że goło powraca i oświadczył w końcu, że mu wprowadzić pomieszkania i stołu u siebie nie broni, ale że po matce zostały długie, które gorzko zapracowanym groszem popłacić musiał... „wszystko więc jest moje!“ dodał w końcu perory...

Antoni podziękował mu jeszcze za to, iż pamięć matki od wstydu długów oczyścił i nudne zaczął życie w domu braterskim, przy skąpym barszczu, a nieszczędzonych naukach moralnych. Największem jego szczęściem było rozpowiadać o wojaczce swojej, o której miał jak największe wyobrażenie; uwolnienie od służby wraz z patentem na podporucznika oprawił w złociste ramy, za szkło wsadził i powiesił w swoim pokoju; a pod tym wisiał zegarek, który z bogacił pstrym łańcuszkiem, albowiem w dnie świąteczne wdziewał go na siebie, zapewne by powiększyć liczbę owych wstęg, z którymi widzieliśmy go na obrazie. Nie wiem czy to niezatarte wspomnienie wojskowych sznurów i orderów, czy może przypomnienie teatralnego stroju w jakim musiał nieraz widywać Murata, co bądź to było, została mu się z życia poprzedniego ta jedna słabość do tych różnobarwnych dekoracji, w których

lubił występować. Nie wiele nawet umiał rozpowiadać o wyprawach, które przeżył, bo jako żołnierz i do tego nie szczególnem od natury obdarzony usposobieniem, nie wiele więcej widział prócz miejsc, w których się bił, lub zimowe odbywał kwatery; twierdził jednak, że niema jak stan żołnierza: o Hiszpanii najczęściej rozmawiał, to jest mawiał przy zdarzonej sposobności: „To śliczny kraj!... tam było gorąco!... więcej jest tam pomarańcz, niżeli u nas jabłek kwaśnych!...” O Juanicie czy pamiętał nie wiem, bo nigdy o niej nie wspomniął, ale zegarek miał w szczególniejszem poszanowaniu. I tak z dnia na dzień dożył zdrowo i czerwstwo aż do dnia, w którym zdarzyła się scena na obrazie odrysowana.

Od trzeciej już zrana pan Wincenty biegał, szastał się po domu jak mucha w ukropie, z dworku na puste jeszcze gumno, bo to było w czerwcu; ztamtąd do stodoły; po pustych chlewach i kurniach tłukł się jak Marek do piekle; tu pędził dziewczkę do dojenia krów, tam zrzedził na zaspanego gumiennego; łajał, krzyczał i szturkał: bo pan Wincenty zapobiegły jest szlachcic, jak go sąsiedzi nazywają — sknera! powtarzają głodne domownicy: gdy mu tu raptem nawinęli się wójt i przysiężni.

— Czego chcecie draby? — było zapytanie zwykłe: bo pan Wincenty twierdził, że chłop a bydle unum idemque; a gdy zastraszony wójt zaczął się w wygoloną drapać czuprynę, już jedna z wiszących nahajek miała być w robocie: gdyż pan Wincenty utrzymywał, że chamska skóra do batogów stworzona; jakoż skąpy we wszystkim, rozrzutny był co się tycze batogów; bił poddanych swoich niemilosiernie, pędził na robotę od niedzieli do niedzieli, a ssał ich jak prawdziwa pijawka: przyczem oczywiście rosła jego sakwa skórzana, choć brzuch schodził bez miary. Po długim rozhorworze dowiedział się nareszcie, że jakiś wędrowny czeladnik chce z nim pomówić.

— O czym chce ten urwisz ze mną gadać?...

— Ale jaśnie panie, wczoraj przy świętej niedzieli było pełno w karczmie, a ten garbaty grał na skrzypkach i potem przy kieliszku...

— Przekłęte pijaki!... już ja was gałgany oduczę tego pijaństwa!...

— Jakoś przyszło do tego, że jeden powiedział garbatemu, że jasny pan znalazł na spacerze przy figurze na trakcie...

— Co znalazł? co znalazł?... ja was tu nauczę — i jak zaczął wywijać numerem drugim, bo nahajki trzeba wiedzieć były na stopnie podzielone, wójt i przysiężni w nogi; milczenie nastąpiło, tylko pan Antoni wpadł na krzyk i zastał braciszka zapyrzonego pod bronią... Ochłonawszy nieco z gniewu kazał pan Wincenty przywołać garbatego Janka... Tu zaczyna się scena z obrazu...

— Kto jesteś? — burknął pan Wincenty na wchodzącego.

— Janek na usługi pańskie — była pokorna odpowiedź...

— Jakto? Janek! Janek! i nic więcej?...

— No kiedy pan chce koniecznie wiedzieć, Jankiem garbatym mnie nazywają...

— To widzę!... ale czegoż chcesz?...

— Ja mój jegomość chcę zegarka mego.

— Patrz garbusa! zostawiłeś zegarek swój u mnie?

— Nie zostawiłem, ale jegomość ma go u siebie.

— Powiedz nam tylko jak wyglądał twój zegarek? — zagadał pan Antoni...

— Srebrny! mój dobry jegomość, trochę już z wierzchu pogięty, z czarnym bawelnianym łańcuszkiem... o ja go zaraz poznam!...

— Przestań gamulo, mój panie Antoni nie mieszaj się do rzeczy, których nie rozumiesz... kodeksuś ani czytał zapewne...

— Mój Wincenty! lepszy mój kodeks w sercu wypisany, niż ten, którym ty kręcisz jak szewc skórą... a potem i my mieliśmy nasze prawa wojskowe...

— No! no! tylko z prawami wojennymi daj mi pokój... a więc mój panie Janku z przydomkiem garbaty, bez nazwiska, śmiesz utrzymywać, że u mnie jest twój zegarek?...

— A jużciż jegomość znalazł go pod figurą na wielkim trakcie... jakoś idąc pozawczoraj z pohulanki, tej karczmy przy mogile na górze, zdrzymało mi się koło figury i usnąłem pod drzewem sobie, a gdy na gospodzie pod miasteczkiem, co to ja zowią poprawką, stanąłem na popas, już mego zegarka w kieszonce nie było... dobrze mi mówiła gospodyni z pod złotego capka, u której pobierałem naczynia, że sznurek już niepewny...

— I dla tych ważnych powodów twierdzisz, że zegarek z pod figury u mnie się znajduje...

— Ależ mój jegomość, pastuszek z respektem powiedziawszy od świni, Samilko jak go nazywają, powiadał, że sam pierwszy zobaczył i jegomości jadącemu w pole oddał...

— A to piękny dowód!...

— Wincenty! przecie zechcesz?...

— Panie Antoni! nie mieszaj się do tego... że mój pastuch, któremu dałem batogi za to, że nie zajął księżowskich świni, które mi w szkodę leść chciały, upiwszy się w karczynie z tobą, plół duby smalone, ośmielasz się twierdzić...

— To już nadto... spodziewam się, że nie myślisz cudzego...

— Cudzego?... cudzego! — zasyczał jak gadzina pan Wincenty; takim bowiem głosem przemawiał w gniewie, do czego mu brak zębów pomagał niepomału — milczałbyś kiedy ci dobrze w cudzym kącie...

— O matko moja!... to twój syn powiedział!...

— Twoja matka umarła żebraczką przez twoją wojaczkę... i ty żebrak!... którego ja hodować muszę...

— Wincenty! Wincenty! niech ci tych słów Bóg nie pamięta! — krzyknął namiętnie pan Antoni, ale zamilkł, bo w domowego życia

ciasnych obrębach potracił przy niejednej już walce z braciszkiem resztki niebardzo rześistej energii...

— Czego panowie się kłóćą przezemnie. . przepraszam bardzo... proszę mi tylko oddać mój zegarek...

— Oddaj! proszę ciebie; wszak masz w kieszeni!...

Cętkami czerwonymi, jak plamami krwi pokryła się żółta twarz pana Wincentego; pełen wścieklej złości porwał za kieszonkę i wyciągnął z niej ściśniętą pięść, lecz trudnoby było odgadnąć, ażali w niej co trzyma, gdyby nie czarny sznurowadło, który się zdradliwie z pod krogulczych wymknął palców...

— Oto! mój sznurowadło! — wykrzyknął Janek klasnąwszy w ręce z radości...

— Twój sznurowadło wagabundo!... — panie bracie! ty coś rozbijał, mordował, obdzierał trupy! chcesz sprawiedliwości!... dobrze! mój ty Janku garbaty!... zobaczmy! weźmiemy się najprzód do protokołu... bo taka rzecz nie może się inaczej odbyć... tu niema świadków!...

— Jegomość! ja daruję protokół! ja chcę tylko zegarka mego...

— O nie ptaszku! musi być protokół!... a masz ty czem zapłacić moją fatygę?...

— A żeby mnie matka boska chorobą pokarała, jeżeli mam grosz przy duszy! ostatnie dwa grajcary zostawiłem dziś rano w jegomościńej karczmie u Berka, który niegodziwie chrześci wódkę... ale może jegomość ma brzytwy do wycierania? może komin wytrzeć potrzeba?...

— Nie wywiniesz się pijaku! ja darmo nie będę gryzmolił; zafantujemy mantelzak... zrobimy protokół, a z niego się dopiero pokaże czyli jest jaki dla ciebie zegarek srebrny z łańcuszkiem czarnym, który to niby umiesz rozpoznawać...

Trzeba tu zrobić uwagę, że pan Wincenty, jakkolwiek zapaśny szlachcic i posiadacz wioski, wyrobił sobie dekret na mandatarjusza, w celu, aby mu łatwiej przyszło prowadzić krnąbrnych chłopów w takt owych trzech wiszących kamertonów; było to zaś w jednostajnem życiu wiejskiem jego jedyną rozrywką...

— Wincenty opamiętaj się!...

— Najprzód weźmiemy się ad generalia, a potem ad specialia.

— Wincenty oddaj proszę ciebie!...

— Ad generalia! kto jesteś? ządł? czy masz paszport jaki włoczego!...

— Paszport?... ja chodzę po świecie tyle lat!...

— Wincenty! zaklinam cię nie rób mi tego wstydu!

— Gadał sobie co chcesz panie kapralu!... Więc nie masz paszportu bratku?... a zegarka ci się zachciewa?... nie odchodzić ządł!... idę po papier, wójt i przysiężni niech czekają... zaczniemy protokół; a zamiast czarnego zdłbieysz się z żelaznym łańcuszkiem...

— Jegomość! jegomość żartuje sobie; czyżby pan na wiosce chciał chudemu pacholce zatrzymywać lichy zegarek?...

— Jakiś włóczęga!... to kryminałem pachnie!... co! więc utrzymujesz koniecznie, że jakiś tam zegarek jest tu!...

— A jest w pańskim ręku!... ja go odstąpić nie mogę, choćby tu jegomość mnie posiekali!...

— Wincenty po raz ostatni pytam cię, czy oddasz?

— Nie! nie! nie! mój panie Hiszpańczyku!

Skoczył pan Antoni do swego pokoju, i lotem bomby wpadł nazad, trzymając w ręku swój złoty zegarek... tak jest zegarek Juanity!... „Dobry człowieku masz tu zegarek i idź swoją drogą!...”

Ciekawe rzucił wejrzenie Janek na podany sobie zegarek, lecz wnet kiwnął głową i rzekł: „To nie mój, ja go nie chcę!... proszę o mój srebrny...” Obydwa bracia spojrzeli na niego z zadziwieniem.

— Ależ ten jest złoty, kosztowny; wierz mi mój kochany, bardzo kosztowny...

— Wierzę; ale dziękuję i proszę o stary, srebrny, połamany zegarek...

— Bierz! bierz dobry człowieku! daję ci go z serca...

— Pocziwie pan ma serce!... ale niema takiego na całym świecie zegarka, za którybym mojego odstąpił; oddaj mi go jegomość, a Bóg ci błogosławić będzie na każdym kroku!...

To było za nadto na rozum pana Antoniego, za nadto na chciwą duszę pana Wincentego, który pomyślał w tej chwili, ażali się w środku srebrnej koperty nie znajduje banknot jaki; chciałby się zaraz o tem przekonać, aż mu palce zadrżały, ale wstyd nie pozwolił mu ściśniętej otworzyć pięści...

— Wszak za ten zegarek możesz mieć kilka srebrnych!...

— I za skarby całego świata nie dam; on pójdzie ze mną do grobu... oddaj mi go jegomość! — i oczy Janka zwilżyły się łzami..

Pan Antoni z oczami od zdziwienia na wierzch wysadzonemi przypomniał sobie w tej chwili zdarzenie własne w Hiszpanji i zawołał: „Może pamiątka?...“

— Pamiątka panie dobry! tobie opowiem — i obtarł oczy brudnym rękawem. — Byłem szlufirzem we Lwowie, stałem długo z moim warstatem na Zielonem przedmieściu, tam w rogu jednego ogrodu... bo ja byłem młodszy, a furtką tego ogrodu wybiegała codzień do miasta z kobiałką piękna Marysia... wiele w życiu widziałem, ale piękniejszej od Marysi ani w ojczyźnie, ani za granicą, chociaż długo furmanitem po Warszawie i Moskwie.... Marysia była dobra i grzeczna — jak się macie Janku; dzień dobry Janku; czy dobry dzień dzisiejszy dla was Janku — tak do mnie gadała idąc i wracając; a nie tylko nożyczki swoje, noże i brzytwy ojca, który był garbarzem przynosiła do mnie, ale i sąsiadów i sąsiadki prowadziła do Janka: Janek ostrzył, a ostrzył, a spoglądał na Marysię... Ale nigdy; widzi pan, ja jestem odważny, nieraz w gospodzie jak się zacznie bójka, ja się i dziesięciu nie przestraszę; przed Marysią nigdy nie śmiałem powiedzieć, co u mnie tłuło się

w sercu: może gdybym powiedział... ale nie! nie! ten garb mój!... ha cóż robić, takie już było boskie przeznaczenie!... Wiosnę stałem całą; całe lato ostrzyłem i wecowałem; a w jesieni Marysia była coraz smutniejsza... panie dobry! jakem zobaczył pierwszą łzę w jej błyszczących jak stal oczach, straciłem apetyt, sen i ochotę do pracy; nie długo to trwało, ale mnie się dłużej wydało niż reszta mojego życia... Napilem się na kuraż wódki jeden, drugi i trzeci kieliszek; to było raz pierwszy, żem miał dobrze w głowie i zagadałem do Marysi, spytałem jej o przyczynę smutku... ach panie! stanąłem trzeźwiuteńki, gdy po długich łzach powiedziała, że ojciec chce ją wydać za piwowara bogatego, a ona kocha się w studencie jednym z filozofji, który jej przysiągł raz w lasku Węglińskiego, że się z nią ożeni i zaprowadzi do swojej wioski gdzieś tam daleko, aż na Pokuciu!... Janku! Janku! ja sobie śmierć zrobię, jak nie pójdę za mego Stasia; Janku! ty jeden dobry mój przyjaciel; Janku ratuj mnie!... Cóż miałem robić ja biedny garbaty szlufirz?... miałem nieco grosza zarobionego, zebrałem wszystko, sprzedałem warstat, nająłem konie, bo oboje byli goli... i wyprawilem ich w imię Boga na Pokucie: nie wiem co się z niemi stało, bom nigdy w tamte nie wędrował strony... Otóż na pożegnaniu, była to piąta zrana, dała mi Marysia na pamiątkę srebrny zegarek, który jej darowała chrzestna matka, żona rzeźnika z krakowskiego przedmieścia; zatrzymałem go na tej godzinie... i codzień o piątej zrana muszę wypić parę kieliszków wódki, bo mi się na płacz zbiera za moją śliczną Marysią!...

— To szczególne zdarzenie! — mruknął pan Antoni — jak on ją kocha! a jaż o mojej Juanicie czy myślę tak często: od długiego czasu Juanita po raz pierwszy stanęła z całym urokiem piękności, łez i rozpaczy przed pamięcią zimnego pana Antoniego. „Juanito!“ westchnął; a Janek sobie: „Gdzie ty moja Marysiu?“

— Wincenty! słyszałeś? czyż cię to nie rozczula? patrz on płacze!...

— Każdy pijak płacze!...

— Więc nie chcesz mu oddać?...

— Najprzód protokół, paszport, metryka, potem koszta kancelaryjne i zobaczymy.

— Powiedziałem ci raz podobno, jak mi jest drogi ten zegarek...

— Zapewne! bo ci codzień powinien przypominać, jaki dureń z ciebie; odrzucić bogatą Hiszpankę, z którąbys mógł panować i mnie biednemu przysyłać nieraz hiszpańskie złoto!...

— Ty tego nie rozumiesz! honor, sława, ojczyzna, cnota!... Ale nie o tem mowa; weź mój zegarek, a oddaj srebrny Jankowi...

— A dasz cesję na pismie?...

— Dam, jakem ułan z gwardji napoleońskiej...

— Niech i tak będzie! masz ty włóczego swoją srebrną klepsydrę i idź precz!...

Porwał Janek za zegarek, pocałował go, a potem złożywszy ręce jak do modlitwy, wyrzekł z płaczem: „Boże błogosław tego dobrego pana!...“

Pan Wincenty przypatrywał się z uwagą zegarkowi zdobytemu gładkim sposobem; gdy tymczasem pan Antoni po odejściu Janka wyrzekł głosem uroczystym: „Słuchaj bracie! lepszych od ciebie widziałem jak wieszali na wojnie!“ A potem odszedł do swojego pokoju; smutnem okiem popatrzył na osieroconą czarną podstawkę od zegarka; żal nawet niezwyčajny ścisnął mu serce... aż gdy spoj-rzał wyżej na ramki, z których patrzała na niego honorowa prze-szłość jego, podporucznik Antoni przypomniał sobie czem był i czem jest — i pocieszył się!...

Epizod z roku 1831.

(Wyd. pierw. w r. 1861.)

Czytając tyle nowo wydobytych wspomnień o zdarzeniach przeszłych przekonałem się, że niema rysu dość drobnego, któryby się nie zdołał przyłożyć do wyjaśnienia przeszłości naszej, tyle dla nas pouczającej. Z niej bowiem nie tylko czerpać możemy naukę wytrwałości i patriotyzmu, ale i z uczynionych korzystać błędów, byśmy w nie przy nowej nie wpadli sposobności.

Dla narodów, mających byt już ustalony, pamiętniki są zabawą, prawie, są zbogaceniem literatury, materiałem szacownym do jednolitej historii całego narodu. Ale u nas pamiętniki są czemś więcej jeszcze, bo szkołą prawdziwą. Mianowicie pamiętniki lat ucisku i niewoli, lat ciągłej walki, to nieskończone dotąd martyrologjum naszego biednego narodu. Młodzież czytając dzieje męczeńskie przodków swoich, miasto mięknięcia pod wpływem tych okropnych obrazów, hartuje się w krwawych obrazach przeszłości, jakby stał w ogniu, tem dzielniejsza, im silniejszy i więcej dopiekający ogień. Taka to już bowiem własność natury ludzkiej!

Prześladowania Rzymian naprzeciw chrześcijan, ciągle nowych tworzyły męczenników, którzy z pieśnią tryumfalną na ustach szli za braćmi swymi na stosy ofiarne. Okrucieństwa moskiewskie, pastwienie się wrogów naszych, tworzą z naszych pokoleń lepszych niemal Polaków, niżeli byli ich wolni dziadowie, bo zaparłszy się wad, co nas dawniej gubiły, palą się bez ognia żądzą poświęcenia się oczyźnie, jakby owym świętym ogniem, przez kapłanów stworzonym.

Takie mi myśli przychodziły do których po prawdzie mnie staremu pomagały najwięcej rozmowy i uwagi młodszych sąsiadów, którzy w rozwoju zdarzeń dzisiejszych, nowym a silnym natchnieniem, i moją starą zelektryzowali duszę. I nieraz, Boże skarż zaglądałem do stajenki i obzierałem mego srokacza, spokojnego polowego stępaka, ażali w danym razie w wojennego nie dałby się przedzierzgnąć rumaka i stanąwszy do szarży, nieustraszon grzmotem dział, poświstem kul, nie pomknąłby cwałem: marsz! marsz! naprzód!

Lecz co tam was moje marzenia obchodzą, młodzi moi sąsiedzi! bo ja dla was piszę! Jak przyjdzie czas i chwila, kto wie, może się zobaczymy. A już to na naszych polskich równinach, to i konie jak i ludzie krew mają inną żywszą! Ledwie bym nie powiedział, że mój srokacz... No! no! do zobaczenia się!...

Więc tedy jako świadek dawnych a wielkich zdarzeń, w których i sam acz skromnym byłem robotnikiem, pomyślałem sobie, ażali nie mógłbym coś takiego z pamięci wydobyć, coby można spisać, a nawet wydrukować. Trochę mi się zimno zrobiło na myśl, że słowa moje mogą być drukowane, bo przez Bóg żywy, to mi przenigdy w głowie nie powstało. Długo wahałem się i białem z własnymi myślami. Aż nareszcie, nigdybyście nie zgadli, co mnie ostatecznie zdecydowało!

Jak zaczęły przychodzić wiadomości z Warszawy, wiadomości krwawe i krew ścinające, a co więcej przez Boga żywego, zemsty i krwi wołające, w pierwszej chwili złość mnie tylko porwyła niesłychana i jak sami widzieliście, odchodziłem od przytomności prawie a w duszy do dawnych nawyczek przyzwyczajony, miałem nawet za złe tę świętą męczenników naszych rezygnację. Hej! bo czy to nie wiecie, co za rozkosz serdeczna, biedz na wroga!... i tak oko w oko!... No! ale inne czasy!... Przekonałem się, jak mi Bóg miły, że takie męczeństwo stać może za największe bohaterstwo...

— Tego nam jeszcze potrzeba było — pomyślałem — byśmy w wielkich ofiarach naszych podobniejszymi stali się do Chrystusa, na krzyżu rozpiętego poświęceniem dobrowolnem okupującego zbawienie.

I gdyście mi nieraz opowiadali o tych nowych okrucieństwach moskiewskich, jako jeszcze nigdy niepraktykowanych, budził się przecie we mnie duch rogaty przeciwnictwa i gonił mnie do przeszłości, bym w pamięci poszukał, ażali sam nie znam podobnych srogości barbarzyńskiej rysów. Oj przypominałem, przypominałem sobie. Moi młodzi sąsiedzi! choć to staremu przykro wyznać — możecie już dzisiaj i wyżej stanęli, ale przynajmniej w innym i lepszym może rodzaju gotowości poświęceń dla drogiej ojczyzny; ale wiercie mi, Moskale nie zmienili się nic!... co do srogości i okrucieństw, to nie postąpili, ani w cywilizacji, ani w barbarzyństwie. Zawsze ci sami, jak za czasów Iwana groźnego, choć ich umył, ubrał, narublował (jak nasz Adam powiedział) i z europejską pokostował car Piotr.

Tacy sami byli pod matuszką carycą Katarzyną, choć menueta tańczyli z frajlinami; tacy sami przed niezapomnianym Mikołajem, chociaż się pchali (na szpiegi oczywiście) do salonów francuzkich i angielskich. I tacy sami pod słodkim Aleksandrem, który bawiąc się w reformy, jak jego ojciec w żołnierzy, boi się biedaczek marzeń historycznych, by mu nie przeszkadzały w spokojnym śnie Samodzierzcy Wszech-Rossji.

I przypominałem sobie jedno zdarzenie, które wam opowiem ze szczegółami, bo znam je doskonale:

Kiedy w r. 1830 listopadowe wybuchło powstanie, po całej polskiej ziemi nowe zadrgało życie. Żebyście wiedzieli, co to jest dla

polskiej duszy nadzieja odzyskania ojczyzny... Bo!... wy to wiecie i czujecie!... Ale nie wiecie, co to za roskosz porwać broń w rękę. Zwycięzać albo zginąć!... Zwyciężyć to słowo dalibóg widziałem, jak ciurów przerabiał na bohaterów!... Zginąć!... choćby i zginąć!... byle dla ojczyzny. Zginąć!... byle z bronią w rękę.

Zapał, co się rozszedł po Koronie, w jednej chwili dosięgnął i Litwy, tej pięknej Litwy, ojczyzny Adama naszego. Nie znacie Litwinów. Dzielny to szczep!... a bracia'ż nasi serdeczni!... a zawzięci, nieustraszeni dla sprawy polskiej, choćby na śmierć, każdej chwili gotowi. I kraj ich cały jakby stworzony do powstania i do tej wojny partyzanckiej, która narodu powstającego najdzielniejszym jest sprzymierzeńcem. Mówili to już mądrzejsi odemnie, ale nie zawsze ich słuchano.

Węc tedy w Litwie panowała radość i wrzało niecierpliwe oczekiwanie. Już to w polskiej w ogóle naturze, nie ma zbytku cierpliwości. I jak tu mieć było cierpliwość, kiedy z Korony przychodzą wieści, jako szeregi stają zbrojne i własny radzi sejm; a na Litwie wróg niecnota rozpusza po kraju swych czynowników, dzwónkiem pocztowym jakby na śmierć dzwoniących i swych szpiegów, co milczkiem z dworu do dworu przemykają się.

I przyszła na Litwie taka chwila, że już się ludzie gorętsi i więcej skompromitowani doczekać nie mogli. I wówczas to miało miejsce to okropne zdarzenie, które wam opowiem. Tylko mnie nie przerywajcie, a słuchajcie cierpliwie, bo stary ma swój sposób opowiadania. I bodaj czy nie będzie krótszy to sposób, jak w waszych to powieściach, co to się tak rzeczy przez długie rozmowy wlecze, dalipam jak bryła po piaskach sandomierskich.

A naprzód opiszę wam plac, gdzie się ta cała toczyła wyprawa:

Owoż to między miastami Grodnem, Suwałkami i Augustowem, jest przestrzeń wielka, o puszcze granicząca, a i sama dość pusta, co się ciągnie po lewej stronie bitego gościńca Petersburgsko-Warszawskiego. A tym to samym gościńcem posuwała się Armja rosyjska, dążąc ku Polsce i Warszawie. Zakątek ten sama przyroda usposobiła do partyzantki. Bo to wyobraźcie sobie środek tej przestrzeni całej, przecina kanał Augustowski, dalej idą liczne i wielkie jeziora, bagna niedostępne i chyba dla obznajomionego z niemi Poleszuka; dalej lasy obzerniejsze, nieprzebyte prawie, bo nie ledwie podobne do onego labiryntu starego, co to nas o nim w greckiej uczył historii; a wszystko to razem sięga do puszczy Białowieżskiej. Węc też były tam miejsca, zupełnie niedostępne, na które wedle potrzeby można się przenieść znajomymi ścieżkami i na wroga nieprzygotowanego zewsząd napadać, męczyć bez ustanku i osłabiać bez końca.

Hej! hej!... żeby to byli rozumieli pierwsi przewodnicy powstania narodowego! Djabła by zjedli Moskale, żeby się byli dostali do Korony. Byliby Litwini rozszarpali na sztuki, zanimby się który korpus dostał do Polski.

Lecz nie trzeba rozpamiętywać takiej przeszłości, bo człowiek gniewem a żółcią Pana Boga obraża, przeklinać się uczy jakby fur-



man jaki. Ile ja przez to w pierwszych latach koni znarowiłem, nim się przyzwyczaiłem do spokojniejszego rozpamiętywania, bo to bywało jak sobie przypomnę, ile to głupstw, Boże odpuść, narobiła nasza star-szyzna, to biedne konisko podemną sam już nie wie, czego ja chcę od niego.

Koniec końców, na tej to przestrzeni odbył się jeden z tych tragicznych wypadków wojennych, o których historia nie wspomina, bo sam przez się nie stanowią i w ogromie innych zdarzeń znikł wnet bez wieści. A był to przecie wypadek, który jak ja przypominam sobie, zgrozą nappełnił wszystkie serca polskie i dał miarę, czego nie zdoła uczynić carski sługa.

Z tego stanowiska wychodząc, dziwiłem się nieraz, że przez lat 30 nikt o tym fakcie nie wspominał, choćby kilku słowy, i ja dla tego właśnie chcę opisać zdarzenie to, aby podać do potomności czyn barbarzyński pułkownika rosyjskiego, byśmy wszyscy pamiętali, jak się to najezdcy obchodzili zawsze z naszym nieszczęśliwym narodem.

Mieszkał tam wówczas Szarkowski Kazimierz, nadleśny leśnictwa Balinka. Dzielny to był chłop, a Polak prawdziwy i serca walecznego. Był zaś dawniej oficerem wojsk polskich za Ks. Warszawskiego, więc była już w nim dusza wojacka, ile że zapamiętał one czasy bohaterskie, co to dziś jeszcze słuchać o nich aż się dusza raduje.

Dosyć tedy, że mój Szarkowski nie mógł siedzieć spokojnie, bo go djabie do wojaczki parło. Zwołał okoliczną straż leśną, ogłosił po prostu powstanie i dobrze zrobił; bo djabli by się tam oglądali w takim razie. Stał na czele tego powstania, i pragnął dusznie działanie swe przenieść na drugą stronę rzeki Niemna, w głąb Litwy.

Powstanie to mogło uczynić niepospolitą dywersję, a nawet stać się zgubnem dla armji rosyjskiej, gdyby mu w pomoc nadciągnął jakkolwiek oddziałik, choćby najmniejszy regularnego wojska polskiego.

Stawszy się panem głównego traktu Petersbursko-Warszawskiego, mogłoby działać to z flanku to z tyłu armii rosyjskich, a sięgając równocześnie za Niemen, podałoby rękę powstaniu wileńskiemu. Tozby to bigosu byli nasi narobili w moskiewskich szeregach! No!... ale inaczej się stało. Inaczej zrządziła Opatrzność. Snać nie dosyć odpokutowaliśmy byli jeszcze!... Ale przyjdzie czas!... dalibóg, że przyjdzie; wierzcie starem uwarusowi.

Szarkowskiego tedy oddział składał się z niespełna czterystu ludzi; była to po większej części sama młodzież, nieświadoma rzeczy wojennej i źle uzbrojona, przytem zapalona jak na młodzież i na Polaków przystało, lecz co najgorsza, nieznająca subordynacji, co także, choć to przykro wyznać, trafia się u nas.

Z tym tedy oddziałem Szarkowski obrał sobie za oś działań swoich, kanał Augustowski i na przestrzeni od miasta Augustowa aż do rzeki Niemna, obrał sobie siedzibę nadzwyczaj obronną w środku lasów, na prost osady Paniewo. Nie chcąc dłużej czekać może, za-

nadto wcześniej rozpoczynał swe działania, i bodaj czy tem nie przyspieszył upadku swego. Ale dobrze to dziś mówić na zimno! W jego skórze i w onych chwilach inaczej się rzeczy wydawały.

W osadzie Paniewo, o której mowa, znajduje się piękna szluz murowana na kanale i tamże mieszkało kilku żydów, trudniących się głównie handlem. Już to wyznać trzeba, że w tamtych czasach żydzi nie byli jeszcze przyszli do pocucia wspólnej swej z nami narodowości, jak to dziś dowodzą tak dzielnie, że chociaż człowiek wychowany w innych zasadach i przekonaniach, kocham ich dziś przez Bóg żywy jako braci serdecznych, i każdego chętnie przycisnąłbym do serca mimo brody i różnicy wiary. Że moralnie stali niżej, to pewna, ale też wiele dałoby się o tem powiedzieć. Do ich upodlenia przykładali się najwięcej sami moskale, korzystając zawsze z ich przywiązania do mamony; no! a i to przywiązanie naturalnijszem nam się wyda, gdy sobie przywiedziem na pamięć, że oddzieleni przesądami własnymi i cudzemi od drugich, przywiązania innego mieć nie mogli, a przynajmniej pewnie nie do społeczeństwa, które nimi pogardzało i ich poniżało. Moskale jako szatany kusiciele, celowali zawsze rublami w tę ich brudną stronę, i nieraz udawało się im przekabacić ich na swą stronę i obrócić na naszą szkodę.

My też Bogiem a prawdą, nie zawsze pamiętni na jutro, nie bardzośmy się z nimi obchodzili oględnie. Ich ciągle stosunki z nami, mieszanie się w nasze sprawy najtajemniejsze, do których sami ich używaliśmy, poniżając jako narzędzia naszych własnych namiętności, uzdolniały ich na usługi Moskali, którzy przyzwyczajeni do niecznych trybów szpiegostwa, naprzeciw nam ich używali. I żydzi dawali się w rzeczy samej używać nieraz do tego, chociaż sprawiedliwość nakazuje mi powiedzieć, że i wówczas jeszcze znałem pomiędzy nimi bardzo zacnych i prawych ludzi, a nawet szczerze życzliwych sprawie naszej.

Co się tyczy żydów, w osadzie Paniewa mieszkających, to jeszcze inne były powody, które ich na nieczne poprowadziły drogi. Byli to jak mówiliśmy kupcy drzewa. Wykupowali co najzdatniejsze drzewo do budowania okrętów i spławiali je kanałem Augustowskim i rzeką Niemnem do morza Bałtyckiego. Ztąd pochodziły mnogie ich stosunki z kupcami niemieckimi, mianowicie Prusakami.

Tu się muszę wstrzymać, abym nie wpadł na inny przedmiot, bo już to przyznam się do tej słabości, że jak tylko mowa o Prusakach, to ja się zaraz zaciekam nad myślą, czem też oni są właściwie pomiędzy innemi narodami? jak i między rodzajami zwierząt, są takie rodzaje niskie a podłe, że istotnie szkoda niemi gęby walać. Więc też nie walajmy. A ta jak wy tam nazywacie — ta Nemezys historyczna, ta już rozstrzygnie sama między nami i tymi.. Prusakami.

To już przecie każde wie dziecko, że te Prusaki nas serdecznie nie cierpią, bo się też serdecznie boją. A może to przeczucie, że kiedyś tak potężnie wezmą w skórę, że sobie przypomną Grünwaldzkie czasy i rozlezą się w tę samą nicość, z której wydobyli się łajdactwem a szachrajstwem; że od początku powstania narodowego nie-

tylko sprzyjali i pomagali czynnie Moskalom, to już nikt o tem nie wątpi. Złodziejskim sposobem dostarczali Moskalom, co im tylko w czasie kampanii było potrzeba, udając neutralność, czego by nawet nie uczynił dziki Murzyn ani Chińczyk zgłupiały.

Owóż jakkolwiek tajemne, piekiel godne dzieła nie wychodzą nigdy zupełnie na jaw, są ślady, że to namowy pruskich kupców naprowadziły żydków z Paniewa na drogę, która spowodziła nie-szczęśliwą katastrofę, jaką właśnie opisuję.

Żydkiwie ci paniewscy mieli mnogie stosunki, a osobiwie drabując ciągle lasy, mieli znajomość dokładną miejscowości.

Ile te rzeczy na jasno stanąć mogły, były już porozumienia, że ci żydkowie, których Szarkowski miał za najbliższych sąsiadów, nęceni chciwością rubli, któremi lotry Moskale ciągle ich kusili i namawiani przez Prusaków, z którymi łączyła ich konieczność handlowych stosunków, jeździli razy kilka potajemnie do Grodna i przed dowódcami zdradzali ruchy biednych naszych powstańców.

Dodać tu wypada, że w onym czasie przebąkiwano i o tem, jako ci sami żydzi mieli od dawna zawziętek na kilku powstańców z oddziału Szarkowskiego, jak się to nieraz trafia w sąsiedztwie i w sprawach handlowych; więc tedy mieli im zaprzysiądz zgubę.

Szarkowski dowiedział się o tych wszystkich machinacjach, i miał ich już na baczem oku. Sam wszakże był zanadto oględny, aby jakim przedwczesnym i gwałtownym krokiem zwiększyć jeszcze tę nieprzyjaźń starozakonnych, o której wiedział doskonale.

Tymczasem nieszczęście chciało, że właśnie w jego niebytności, jeden z jego podkomendnych wracając z podjazdu, wstąpił na czele kilkudziesięciu ludzi do Paniewa. A miał właśnie nowe dowody, które zwracały pewność prawie posądzenia na trzech głównie żydków paniewskich, których nareszcie głos powszechny wskazywał jako szpiegów.

W chwili tedy jakiegoś niczem niewytłumaczonego uniesienia, kazał pochwycić tych trzech żydów i po kilku groźnych słowach, na które przestraszeni żydkowie nie odpowiedzieć nie śmieli, bo po prawdzie złe sumienie patrzyło im z oczów, bez sądu wszelkiego kazał ich powiesić.

W jednej chwili wypełniono srogi wyrok i powieszono ich na wysokiej jodle, tuż przy samej drodze. Do dziś dnia jeszcze stoi na tem miejscu owe drzewo pamiętne, na którym przed laty trzydziestu wisiało trzech nikczemnych szpiegów.

Dziwna rzecz!.. W chwili kary lud okoliczny przekonany był o jej sprawiedliwości, a przecież później pamięć winy zatarła się pomalą, a odraza tylko od srogiej i haniebnej kary została. I jako zwykle zabobonny, w tych mianowicie okolicach, lud tamtejszy nie dotknął się ani też przyłożył siekiery do tego drzewa, które przechowało się aż dotąd jakby na dowód nikczemności z jednej, a nieroztropnej gwałtowności z drugiej strony.

Smutny ten a wcale niepolityczny wypadek (ba! w tem też sęk cały, że już to my do polityki niezdarzy wielkie), w którym

Szarkowski jak mówiłem żadnego nie miał udziału, stał się rozgłosnym w całej okolicy, i niestety, najgorsze pociągnął za sobą skutki, bo przyspieszył zgubę biednego partyzanta.

Łatwo pojąć, jaką złością zakipiało całe żydostwo w Paniewie i w okolicy; a wszak to powieszzeni nie jednego byli krewnymi, innym przyjaciółmi lub współnikami; i trzeba też wyznać, że żydzi solidarnością, jaką się trzymają między sobą, mogliby nieraz i chrześcijanom służyć za przykład.

Dodajcie do tego, że prócz złości i zemsty, powodował żydami postrach, bo wielu z nich czystego nie miało sumienia, bali się zatem co chwila podobnego losu. Zaprzysięgli tedy między sobą zgubić powstańców, i w tym celu wysłali szpiegów do miasta Grodna. Ci tedy przyrzekli, że wskażą miejsce, gdzie się ukrywa obóz partyzantów; a znając Moskali naturę, donieśli prócz tego, że w obozie nagromadzone są ogromne bogactwa i kosztowności; co też i prawda była, bo sąsiedni obywatele, usuwając się od głównego traktu, kędy był przechód Moskali główny, posprowadzali do obozu co mieli najlepszego i najkosztowniejszego.

Na tę wiadomość, każdy rozumie z was, jak wszyscy Moskale od dowódcy zaczawszy, połykali ślinkę. Bo już to łąać i rabować, to był zawsze obyczaj i była rozkosz moskiewskich żołdatów.

Wtem jakeśmy to teraz dożyli, jeszcze synowie i wnukowie nie odrodzili się od swych Mikołajowskich ojców i dziadów, z presławnej carycy czasów. Nowe dowody swoich talentów dawali na bruku warszawskim; zarzynali niewinnych, by ich złupić i okraść, a łupili i okradali, by ich zarzynać. Sami oficerowie wyższych usposobień, przyznają, że warowat (kraść) to należy do konieczności natury żołdata moskiewskiego. Gdzie stoi na kwaterze, to choćby goździa, choćby postronka kawałek ukraść musi koniecznie. To też starszyzna przekonana o tem, nie karała zwykle za samą kradzież, ale za kradzież niezgrabną.

Ileż to razy żołdat niejedyn ginął pod pałkami za ukradzionego koguta, który go zdradził rozpaczliwem paniem, a oficer przewodniczący karze powtarzał mu od czasu do czasu, jako sens moralny odbieranych pałek:

— Było tak ukraść, by nikt cię nie złapał.

— Aj batiuszka! — jęczał pod plagami żołdat, i tłumaczył się, że go kogut szelma zdradził głosem swoim.

— Sukinsyn! — wrzasnął oficer z gniewem i pogardą. — Było mu naprzód łeb ukreć!..

Na taki silny argument, milknął biedny żołdat, i w skrusze wielkiej przysięgał sobie, że jeżeli tym razem przebędzie pałki szczerliwie, to już będzie korzystać z nauki oficerskiej.

I to nie facecyjka moi panowie; to prawda regulaminowa wojska moskiewskiego.

Więc też, wracając do mego przedmiotu, podnieceni nadzieją bogatego łupu, postanowili Moskale zejść niespodzianie obóz partyzancki, a tem byli zuchwalsi, że się wielkiego nie spodziewali niebezpieczeństwa. Już to w takim razie, Moskale zuchy niepospolite.

Wiele prawią o tęgości wojska moskiewskiego, ale to gadają ludzie, co tego nie rozumieją. Idą w ogień, bo muszą, bo z tyłu grozi im ogień własnych dział, który strachem z tyłu, strach z przodu odgania. Niewolnik prawdziwej odwagi mieć nigdy nie może. Wiedzieli też wówczas, że naprzeciw siebie mieć tylko będą garstkę niesfornej młodzieży, źle uzbrojonej i niedoświadczonej, a tem łatwiejszej do zniszczenia, bo wrodzona odwaga nie da się im cofnąć ani kroku przed nienawistnym wrogiem.

Jak wam mówiłem, obóz Szarkowskiego znajdował się w miejscu bardzo bezpiecznem, a do odszukania nadzwyczaj trudnem. Głęboko w puszczy, o dwie mil od Paniewa, wśród bagien niedostępnych, gęstemi zaroślami okolonych i porośłych, osadził się Szarkowski z swoim oddziałem, i opasawszy się zasiekami z drzew jakby naturalną palisadą, sądził się być tak bezpiecznym, jakby w fortecy jakiej.

Z obozu tego wysyłał on codzień małe oddziały, które przebiegały całą okolicę, i docierając już do samego Niemna, jużto do miast Suwałk i Augustowa, ucierały się nie raz i nie dziesięć z rosyjskimi dragonami, dając się im należycie we znaki. A po utarczce takiej, jeżeli się im sposobność do tego zdarzyła, szczęśliwie wracali nazad, zebrawszy nieraz nieco nowych ochotników, prócz zapasów żywności i amunicji, a wszystko to przeprowadzili do obozu wiadomemi sobie ścieżkami i manowcami. Potrzeba było prawdziwie wyżłego nosa, aby trafić do tego miejsca, do którego wśród tysiąca innych krzyżujących się leśnych dróżyn, jedna prowadziła prawdziwą.

Ale nie to moi kochani, nos najlepszego wyżyła, co tłustego wietrzy dubelta, nie lepszy od nosa szpiegowskiego, co mu chciwość wiatru dodaje, albo od nosa moskiewskiego, gdy zwietrzy krew i łupy...

Zaraz się o tem przekonacie.

Gdy tedy Szarkowski ufny w swoje ukryte stanowisko, zbiera zapasy, ochotników, stara się zorganizować jak najprędzej, by stać w gotowości na wypadek rozszerzenia się powstania, z drugiej strony milczkiem wybierał się prowadzony przez szpiegów żydowskich, sam pan pułkownik gwardji rosyjskiej, Fligeladjutant J. C. Mci, Annenków.

Pułkownik gwardyjski nie pogardził taką wyprawą; wszakże to szło o łupy bogate; a w takim tylko razie między Moskalami od samej góry, aż do dołu, od samego szczytu społeczeństwa, aż do jego nizin najgłębszych, panuje równość w uposobieniach. Wziął z sobą cały pułk piechoty, dwie sotnie kozaków, dwa działa, i wyszedłszy z Grodna, przeprowił się przez rzekę Niemen, po lewej stronie kanału Augustowskiego.

Cały oddział konnych powstańców, zajmował wieś Gorczycę dla strzeżenia wysokiego mostu drewnianego, rzuconego przez kanał. Wieś Gorczyca, osada Paniewo i obóz Szarkowskiego, były to trzy wierzchołki trójkąta, w którym miała się odbyć straszliwa katastrofa.

I tak tedy, wedety nasze stały przy moście, a oficerowie polscy gościli tymczasem w domu dozorczy szluzowego, czyli tak znanych koszarach kanałowych. Nagle, z przeciwnej strony od lasu, ukazał się oddział kozaków, łyszcząc od słońca długimi spisami. Młodzież nasza na pierwszy alarm stanęła pod bronią do szeregu,

i nie rachując na nieprzyjaciela, przemknęła przez most, i śmiało: na wraha!.. Hurra było tak silne, że się kozunie cofnąć musieli nazad do lasu. Lecz w tej chwili wysunęła się z lasu silna kolumna piechoty rosyjskiej. Nasi dotrzymywali kroku, lecz gdy się tyraljery rosyjskie gęstemi rozsypali szeregi, powstańcy myśleli się cofać ku wsi.

Była to chwila bardzo krytyczna. Naszych parla przemagająca siła; most ich tylko dzielił. Most zniszczyć wypadało koniecznie. Nasi zaczęli go rozbierać, lecz nie mogli tego dokonać, nieustającym prażeni ogniem. Więc co rychlej podpalili most, a sami cofnęli się ze wsi wiadomemi manowcami ku obozowi.

Moskale przywrócili przerwana komunikację, i przeszedłszy kanał, w dalszy ruszyli pochód, po owej drożynie, która miała ich doprowadzić przez lasy do obozu Szarkowskiego.

Tu możnaby się śmiało zapytać, dla czego Szarkowski, przez wracający oddział zawczasu zawiadomiony o zbliżającym się nieprzyjacielu i to w sile tak przemagającej, nie zabrał co prędzej co można było unieść kosztowniejszego i spaliwszy obóz, nie cofnął się w obszerną puszcę, która się za nim roztwierała. Tamby pewnie zmylił wszelkie pogonie, i djabła by zjedli Moskale, czy by go byli w stanie szukać; a co więcej, mógł nawet zagrozić odwrótowi nieprzyjaciela.

W takim manewrze miał wiele szans za sobą, bo nieprzyjacielskie wojsko, utrudzone przyspieszonym marszem, pośród labiryntu rozlicznych drożyn i bagnistych przestrzeni, mogło być narażone na ogromną klęskę, jeżeli nie na zupełną zagładę.

Lecz inaczej chciało przeznaczenie!... czyli raczej na co tu używać przeznaczenia!... i przez to uczynić zarzuty Opatrzności. Ot po prostu, Szarkowski nie mógł uleść pokusie zdybania się z wrogiem, i wstąpienia z nim w taniec śmiertelny.

Niech kto chce co gada!... szatańska to pokusa!... widzieć wroga przed nosem, mieć broń w dłoni i cofnąć się przed nim. Uderzmy się w piersi i my podobno bylibyśmy to samo uczynili. Złe to, bardzo złe, ale my Polacy nie możemy się jakoś rozluźnować w rejteradzie strategicznej. Nie tak jak one wojsko (mniejsza jakie), o którym to stary Napoleon powiedział, że to wojsko najniebezpieczniejsze, bo nieśmiertelne. Ledwie go złapiesz i zaczniesz trzepać, ono ci zemknie aż się zakurzy, i znowu o mil kilkadziesiąt dalej stoi całe i nienaruszone.

Kolumna moskiewska zformowała się; kozaki na przodzie, za niemi działa, a na koniec piechota. Z dala dostrzedz można było przy armatach dwóch ludzi, których prowadzono na powrozie. Byli to żyd szpieg i dozorca szluzowy, którego Annienków z Gorzycy zabrał, by mu służył za drugiego przewodnika, jako był naturalnie świadomy miejscowości. Rzecz prawdziwie zastanowienia godna, jak ten żyd nikczemny, drżący ze strachu, by życia nie postradał, nie zmylił ani na chwilę drożyny i po marszu kilkogodzinnym, za pomocą szatana, który jemu i Moskałom pomagał, doprowadził nieprzyjaciela wprost na obóz partyzancki.

To tylko dowodzi, że nie podlejszego jak człowiek, gdy się raz spodli, bo za pieniądze wszystko robi, sprzedaje.

Gdy się las nieco rozświetlił i na wolniejszym miejscu rozwinęła się piechota moskiewska, dowódzca dał znak do ataku.

— Hurra! — rozległo się złowrogim głosem wśród dotąd milczącego i głuchego losu.

Z bagnetem w rękę poskoczyło naprzód żołdactwo moskiewskie, lecz natrafiwszy na nieprzebyte błota, zaczęło grzęznąć i musiało stanąć na kilkadziesiąt kroków od zasieków, opasujących obóz Szarkowskiego. Wtedy to padł pierwszy strzał z obozu. Był to strzał celny; ledwie dym się podniósł w górę, a żołnierz jeden zwałił się w błoto. Za nim padło kilkadziesiąt strzałów. Dobrze nasi walili. Kilkadziesiąt trupów legło jeden przy drugim.

Dowódzca moskiewski wpadł w wściekłość prawdziwą na tych miatieżników, co śmieli na carską armję strzelać. Kazał podjechać działom, odprzodkować, i sypnąć kartaczami.

Ryknęły działa, co na nienawykłych powstańcach, ludziach po większej części prostych, ogromne zrobiło wrażenie. Ogień trwał nieustannie, i... aż smutno powiedzieć!... ale przebaczyć należy niedoświadczonej młodzieży, która wreszcie widoczną widziała przed sobą zgubę. Jeden po drugim rzucali broń, i znajomymi przesmykami rozbiegali się w lasy, ratując życie i wolność.

Ogień ze strony powstańców słabnął coraz więcej, aż nareszcie został sam jeden Szarkowski tylko. Sam jeden, nieustraszony, pełen odwagi, wołał zginąć, niżeli cofnąć się przed nienawistnym wrogiem.

Rzadki to dowód w takim razie mężstwa i wytrwałości, bo jak drudzy tak i on mógł się uchronić. Ale jako stary żołnierz nie pojmował ucieczki, ani też chciał porzucić stanowiska i powierzonego sobie mienia. A potem!... widok Moskali dodawał mu coraz więcej zapалу. Bo wy nie macie wyobrażenia, jak to my tych Moskali nienawidzili.

Więc tedy strzał padał po strzale, szybko a celnie. To sam Szarkowski strzelał. I biada żołdatowi, co mu się dostał na cel lufy.

Został z nim jeden tylko 17letni chłopak, ochotnik także nieustraszony, który dowódcy swego nie chciał opuścić. Szlachetny młodzieniec!... Ten mu broń nabijał i podawał; a broni i amunicji nie brakowało.

Działa ucichły, a zdumione żołdactwo, chwilowa przejęła trwoga. Lecz się wnet opamiętali, widząc wyraźnie, że naprzeciw tysiąca, jeden tylko broni się miatieżnik. Więc nuż szukać w około dogodnego przejścia, ze zwykłym złodziejskim sprytem. I znaleźli. I dostali się wreszcie do obozu, nie bez mnogich ofiar, popędzeni przez pniącego się ze złości dowódcę.

Cóż mógł uczynić jeden człowiek, choć najwaleczniejszy, naprzeciw takiej zgrai rozjuszonej. Biedny Szarkowski wraz z młodym ochotnikiem, otoczeni zewsząd, dostali się w niewolę. Taką waleczność i odwagę każdy wróg, oficer każdego na świecie wojska poszanowałby, ale nie moskiewski wojownik, carski nastojaszczczy służalec.

Obu jeńców związano powrozami jakby bydłeta jakie, i przyprowadzono przed dowódcę, tryumfem i szyderstwem promieniającego. Wielki tryumf!... cały pułk nad jednym człowiekiem!... I go dziwie w takim razie szyderstwo?

Pierwsze słowa pułkownika Annienkowa były:

— Czemu ty podły, suczy synu, nie poddałeś się carskiemu pułkownikowi?...

Szarkowski odpowiedział mu na to z godnością prawdziwie żołnierską:

— Co mnie dzisiaj, to ciebie jutro spotkać może.

Ale gwardyjski pułkownik, miał i na to odpowiedź godną siebie. Przyskoczył do niego na koniu, i syjąc przekleństwami, których Moskale takie bogactwo posiadają, że ich w tej mierze nikt pewnie nie przegada, dał mu z całej siły policzek.

Tak się znalazł pułkownik gwardji jego cesarskiej mości, naprzeciw bezbronnego jeńca.

Był to dla Szarkowskiego cios straszny. Szarkowskiego piersi zdobił krzyż legii honorowej, a w piersiach było uczucie dzielne i prawe. Krew mu wystąpiła na twarz, potem pobladł jak chusta, i spuściwszy głowę, nie wyrzekł ani słowa, aż do męczeńskiego końca swego.

Słuchajcie dalej, bo to nie koniec!... Słuchajcie, byście wiedzieli jakich wrogów macie i nienawiść do nich chowali aż do ostatniego tchu.

Gdy już byli w obozie, przystąpili do najmilszej zabawki. Zaczęli rabować. Poznoszono na środek ładowne kufry; i nuż je rozbijać. Toż to była rozkosz moskiewska!... toż to się im oczy iskrzyły, gdy zaczęto wydobywać srebrne naczynia, drogie futra, bielizne, gotowe pieniądze i inne kosztowności. Gwardyjski pułkownik zabrał to wszystko dla siebie. Niewolników miał wprawdzie dwóch tylko; nie wielka to zdobycz naprzeciw takiej wyprawy i strat poniesionych, ale za to miał łupy bogate, któremi będzie mógł hulać i huczeć po moskiewsku.

Zaczął więc odwrót z swoim oddziałem, zwróciwszy do Grodna, szedł w kierunku miasteczka Sopockina. Lecz wojsko strudzone i zgłodniałe nie mogło zdążyć do niego i stanęło noclegiem o milę drogi w niewielkiej wiosce.

W karczemnej stajni byli dwaj więźniowie. Co się w ich duszach działo, Bóg to jeden widział, i porachuje im w swej najwyższej sprawiedliwości. Do cierpień moralnych, przybływały niemałe cierpienia fizyczne, bo powrozy kępowały ich nogi i ręce aż do krwi.

Od tej chwili można powiedzieć, rozpoczął się kalwaryjski pochód ostatnich chwil życia nieszczęśliwego i dzielnego Szarkowskiego, tej prawdziwej ofiary miłości ojczyzny.

Za chwilę cisza zaległa karczmę, żołdactwo leżało nieruchome, snem twardym ujęte. Szyldwachy nawet, znużone całodziennym pochodem, oparci o ścianę, z bagnetami w ręku zadrzymali. Kozackie tylko patrole, gdyby cienie snuły się tam dalej pod lasem. Niebo było pogodne, ale wiatr pędził po nim chmury, i księżyc co świecił tej

nocy jasno, co chwila ukrywał się po za chmury, tak że kolejno miały się jasnością z cieniem.

W tej to chwili!... Dziwne są losy zrządzenia!... czyli raczej, dziwne są Opatrzności drogi, któremi ona kieruje losy ludzi. Nierozumiane są jej wyroki!... nie rozumiemy zatem, jeno się im jako dzieci ojcu poddajmy.

Szarkowski, który bez najmniejszego niebezpieczeństwa mógł wcześniej opuścić obóz i schronić się przed niewolą, nie uczynił tego. A teraz w ciszy nocnej, gdy mu się po głowie tysiączne tłoczyły myśli, jako one chmury po niebie, porwała go niewstrzymana żądza wolności.

Uciec z niewoli!... postanowił koniecznie. Powrozów nie mógł zupełnie rozwiązać, ale ulżywszy ich sobie o ile mógł, korzystał z ciszy powszechnego spoczynku, i jął się czołgać na czworakach, omijając najostrożniej leżących żołdatów i drzymiących sztyldwachów.

Wszystko mu sprzyja, bo w tej chwili właśnie ukrył się księżyc za wielką i czarną chmurę, i było ciemno zupełnie na ziemi.

Już się dostał za wrota karczmy. Ostatnich sił dobywając, czołga się dalej i dalej. Trudna podróż, ale przy silnej energii posuwa się jakoś. Już się znajduje przed samym lasem. Jeszcze kilka chwil krótkich, kilka natężeń, i już zniknie w gęstwinie lasu.

W tej chwili księżyc dobył się z chmury, i nowa jasność padła na ziemię i rozświetliła całą okolicę. Kozak na czatach stojący, ockniony światłem z chwilowej drzemki, postrzega coś czołgającego. Pewien że to zwierze jakie, przyskoczył doń, i poznaje człowieka. Wpatruje się — i poznał z dziką radością nieszczęsnego więźnia.

Za chwilę Szarkowski nazad do karczmy przywleczony zostaje. Tu się zmienia scena. Za karę sztyldwachom pałki rozdać kaze pan pułkownik; biedni żołnierze krzyczą w niebogłose. Gwardyjski pułkownik za oficerami popija czaj, a z więźniem co?... Annienków ma spryt moskiewski, nie darmo car zrobił go pułkownikiem swej przyboecznej gwardji; już mu więzień pewnie nie ucieknie. Zkrępowanego jeszcze mocniej, aż do krwi, aż do kości, aż do szpiku prawie, pułkownik kazał przewiesić przez płot, głową w dół. Chwat pan pułkownik!... Wzdrygacie się, nie wierzycie!... prawda to! powiadam wam, święta prawda!... Lecz słuchajcie dalej. A dla większej pewności w koło tak powieszonego, kazał stanąć całej piechocie szeregami. I łknął gorącego czaju, na wiwat własnemu dowcipowi.

Co wycierpiał biedny męczennik Szarkowski, któż opisać zdoła. Jakie przeżył bole okropne i duszy i ciała, domysleć się tylko można. Ileż razy westchnął potajemnie, aby się już raz te męki skończyły. Ale ani słówka nie pisał, ani jednym jękiem wrogów nie pocieszył. Dzielna to była, prawdziwie polska dusza!...

Nareszcie Bóg się zlitował nad męczennikiem; poczerwieniało niebo na wschodzie, zawitała zorza, i obóz moskiewski zaczął się ruszać, aby z pogodnego korzystać poranka. Więzień przedstawiał widok okropny; krew lała się ustami, nosem, oczami, uszami, z paznogi się dobywała. Życie widocznie uchodziło; ale umrzeć nie mógł; żył jeszcze i miał przytomność. I ten widok nie zmiękczył dowódcę!

Gdzie tam!... pułkownik carskiej gwardji nie zna litości; w piersi nie ma serca; tam tylko jest miejsce na posłuszeństwo.

Annienków po sutych czajowych libacjach obudziwszy się, kazał więźnia wrzucić na wóz, i z całym swym oddziałem ruszył do miasteczka Sopoekiny w tryumfalnym pochodzie. W miasteczku odbywał się targ dnia tego; lud snuł się pomiędzy domostwa, i osłupiałym wzrokiem patrzył na wojsko i na wiezionego jeńca.

Pułkownik Aninków miał czas się namyśleć, co ma z więźniem zrobić. I snąć coś doskonałego wymyślił, bo mu się oczy iskrzą wilczym ogniem. Postanowił buntownika ukarać publicznie, i w sposób odstraszący, co by okropnym pozostał przykładem. I cóż wymyślił?... nie odgadnicie nigdy!... Na to trzeba się cofnąć w wieki barbarzyńskie, lub między narody pogańskie.

Kazał wysoki pal wyciosać kończasto, wbić w ziemię na rynku, i ustawiwszy wojsko po jednej stronie, wśród zgromadzonego ludu wyprowadzono więźnia, i... Prawdziwie wzdyga się pióro napisać, czego uczynić się nie wzdygał gwardyjski pułkownik moskiewski.

I... kazał więźnia wbić na pal!...

Tak jest!... na pal wbito biednego męczennika, na pal w wieku XIXtym! I to uczynił pułkownik gwardji jego imperatorskiej mości, i jego weliczeztwa fligeladjutant. Annienków się nazywał. Pamiętajmy o tem!... Na pal wbijać w czasach dzisiejszych, to na bajkę zakrawa!... A tymczasem to prawda, prawda okropna. Są zaiste prawdy nie prawdopodobne!... Hańba fligeladjutantowi!... hańba całemu korpusowi oficerów!... którzy patrzali z zimną krwią na ten dowód niesłychanej dzikości i zapamiętałości, i którzy służyli dalej pod takim nikczemnikiem, który wstyd robił wojsku, do jakiego należał.

Nie długo cierpiał biedny męczennik Szarkowski; zanadto już miał siły ztargane. Bóg się zmiłował nad nim; zapadły powieki, i ostatnie wydał technienie jeden — nie pierwszy i nie ostatni — z polskich męczenników. O mamy, mamy my ich dosyć! Dziękujmy Bogu, że między narodami przeznaczył nas na Chrystusa męki, któremi prędzej czy później okupimy swoje i cudze swobody.

Jeszcze tylko kilka słów na zakończenie tego obrazu okropnego.

Ze śmiercią Szarkowskiego, skończyło się i powstanie Augustowskie. Jego towarzysze rozbiegli się; jedni przedarli się lasami do Białowieżskiej puszczy, a drudzy dostali się do Warszawy i zaciągnęli w polskie szeregi...

Szczęśliwi ci, co się dostali do regularnego wojska. Ale pierwsi nie uszli baczno oka najeźdźców naszych. A byli między nimi wyżłi doskonałe. Wszystkich prawie wyłapano pojedynczo, to podstępem, to zręcznością, to fałszywemi obietnicami, wszystkich wywieszano na drzewach, by pomnożyli liczbę męczenników polskich.

Głównymi przewodzcami tych łówek byli: jenerał Rolen i jego pomocnik ex-kapitan sprawnik krzemieniecki, kapitan wojsk carskich, niejaki Fliss; a trzeba wiedzieć, że pochodził z żydów berlińskich. Znaie wy ich doskonałe.

Za te czyny bohaterskie, generał Rolen po skończeniu powstania, objął gubernatorstwo byłego województwa krakowskiego, z rezydencją w mieście Kielcach. Za okazaną chęć w wieszaniu powstańców, dostał darem od cara Mikołaja, który umiał i lubił nagradzać podobne zasługi, starostwo Stopnickie. Lecz nie długo cieszył się tym datkiem; wkrótce bowiem powołany został przed króla wszystkich carów i królów, by zdał tam sprawę. Wątpić należy, by tam do nagród przypuszczonym został.

Ex-kapitan sprawnik, drugi podwładny wyżej, który dyrygował temi mordami w Białowieżskiej puszczy i nie mało się w tej mierze najeździł, dostał się do miasta obwodowego Stopnicy za adliczenie w Białowieżskiej puszczy na komendanta żandarmów. Była to posada jakby stworzona dla podłej tej duszy; rządził teroryzmem niesłychanym, a kto się dostał w jego ręce, był pewien potępienia i losu najokropniejszego. W ustach i wyrokach jego nie było innej alternatywy; tylko forteca, cytadela, Syberja, i t. d. W roku 1846 wziął się do buntowania włościan, a ponieważ do tego wzywał podwładnych pieśków, więc przez wdzięczność wystarał się dla nich o ruble i chresty, któremi nagradzał ich rad, za baśnie któremi go traktował komendant żandarmów.

Chciał on nawet przyprowadzić do tego włościan, aby panów wiązali, ale to mu się jakoś nie udało. Zawsze wiele złego narobił, bo włościan pobałamucił, olśniwając ich oczy rublami. Ale że nie ma nic stałego na świecie, więc też przyszła kryśka na Matyska. Znaleźli się przebieglejsi od niego i nagle wypędzono pana komendanta. Dopiero po śmierci feldmarszałka przyszedł do nowych łask i wrócił przez nowe protekcje do posad rządowych. Jest teraz w Radomiu radcą policyjno-wojskowym, i potajemnie daje swe najzjadliwsze rady.

Lecz stary i osłabły grzesznik, nie może już jawnie działać, i jest nadzieja, że nie długo pójdzie także zdawać sprawę tam, gdzie czyn czyną nie poczytuje, i tłumaczenie się osobnemi poruczeniami nic nie pomoże.

Kałakol Herzena ogłosił nazwiska 6000 szpiegów, (to jeszcze za mało) jakich używano w Królestwie polskiem. Pomiedzy 6ma Radomskiem, figuruje nasz luby potomek żydka pruskiego, dawny oprawca powstańców z Białowieżskiej puszczy.

A o pułkowniku i fligeladjutancie Annienkowie tyle wiem tylko, że wrócił do Petersburga, dokąd go ciągnęło jako człowieka dworskiego z wyższem wykształceniem. Że człowiek taki drugiego człowieka kazał na pal wbić, to nic nie szkodzi, to nie przeszkadza być w Petersburgu przy carskim dworze, człowiekiem dworskim, wyższego wykształcenia. A że dosyć nałupił i narabował, przez to nie miał więcej brudu na palcach ani na sobie od drugich dworskich, więc odgrywał wielką rolę w Petersburgu, udawał pana, dorożką jeździł po bruku, szampańskie spijał i t. d. A co z nim dalej się stało, mniejsza o to *).

*) Jest to słynny generał-gubernator Kijowski z r. 1863. (Przy. Wyd.)

Towarzysz nieszczęśliwego Szarkowskiego, ów młodzieniec 17letni, którego nazwisko nie zachowało się potomności, został przydzielony do gwardji cara. Co się z nim stało, nie wiem. Czy został Polakiem w duszy?... daj to Boże!... Czy przerobił się na równego drugim słuźalcem, zbira dla własnych rodaków?... Być to także może, bo i to trafia się niestety!... Ale i o to mniejsza.

Jeszcze żyje duch nieśmiertelny naszego narodu!... Nie zalała go krew męzenska!... i nie zniszczy go kilku odstępców!...



P. P. DOM KSIĄŻKI
— ANTYKWARIAT —

❁ 063503

Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

CM KEK 332719



000-332719-00-0

Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

CM KEK 332719



000-332719-00-0